

Musimy kończyć, kop sobie grób



Maja Narbutt

W każdej jednostce SB istniały nieformalne rankingi najlepszych sposobów łamania ludzi. – Zdolny oficer wiedział doskonale, jaki zastosować, by osiągnąć cel. Byli zwykli rzemieślnicy, ale też i artyści – mówi były funkcjonariusz SB i UOP.

Przerwa na obiad

Gdy rozmawiam z ludźmi, którzy doświadczyli bezwzględnych metod SB, uderza mnie jedno – po kilkunastu latach mogą często beznamiętnie relacjonować historie fizycznych udęczeń. Jednak ich spokój pryska, gdy zaczynają mówić o rzeczach nieodwracalnych, o tym, że nie byli przy śmierci lub na pogrzebie matki, żony czy brata, bo oficer SB zgadzał się wydać przepustkę z aresztu lub internowania tylko wtedy, gdy podpiszą deklarację współpracy lub złożą wyczerpujące zeznania.

Wiele wskazuje, że ta metoda była stosowana bardzo często, podobnie jak inne środki presji, które trudno uznać za coś innego niż groźby karalne. To olbrzymia szara strefa, nawet dokładnie nieudokumentowana. Ludzie, którzy odebrali sweteczki z Instytutu Pamięci Narodowej jako osoby pokrzywdzone, opowiadają, jak bardzo byli zdumieni, gdy czytali protokoły przesłuchań. Kiedy, doprowadzeni do ostateczności na przykład groźbami pod adresem swych dzieci, rzucali się ze stołkiem na oficera SB i zrywali przesłuchanie, odnotowywane to było jako przerwa na obiad.

Pisząc ten tekst, starałam się dotrzeć do byłych oficerów SB, by zapytać ich, jak z dystansu oceniają stosowane przez siebie metody. – W tym temacie mam pustkę – to jedna z najbardziej typowych odpowiedzi. Zazwyczaj mówili też, że nikogo nie trzeba było łamać, bo ludzie „współpracowali z SB z pobudek patriotycznych, materialnych i ze względu na materiały kompromitujące”.

Bardzo często słyszałam również „I tak powiedziałem pani za dużo”, choć to, co zdecydowano mi się ujawnić, nie wykraczało w zasadzie poza wiedzę, jaką można znaleźć w instrukcjach pracy operacyjnej i skryptach wydanych w czasach PRL przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Jednak sam fakt rozmowy z dziennikarzem jest niekiedy przez byłych esbeków traktowany jako wykroczenie przeciw grupowej solidarności. Zbyt duża wiedza o dawnych sprawach może być „szkodliwa dla zdrowia” – stwierdził jeden z rozmówców. Kiedy zaś powiedziałam byłemu

oficerowi SB, że okazał się najbardziej otwarty na rozmowę, zobaczyłam jego lęk, iż mógłby zostać uznany za słabe ogniwo.

Trudno było nawet znaleźć wspólny język w opisie pewnych wydarzeń. To, co określa się powszechnie jako uprowadzenie, dla niektórych pozostało zdjęciem operacyjnym, o którym mówi się po prostu jak o dobrze wykonanej robocie.

Nieznani sprawcy i żrąca ciecz

Wrzucony brutalnie do fiata między dwóch esbeków Janusz Krupski patrzył na przesuające się za oknem ulice Warszawy. Kiedy samochód minął Pałac Mostowskich, czyli siedzibę stołecznej milicji, a potem nie zatrzymał się przy mieszkaniu na Żoliborzu, gdzie często bywał, zrozumiał, że może spodziewać się najgorszego. Przez moment rozważał, czy, jak to widział na filmie, powinien rzucić się na kierownicę i spowodować wypadek. Jednak gdy w końcu zatrzymano się za miejscowością Truskaw w Puszczy Kampinoskiej, z dziwnym fatalizmem poddał się biegowi wydarzeń. – Nie szarpałem się, nie stawiałem oporu, gdy wyprowadzono mnie z auta na leśnej przecince. Esbecy mówili potem, że „Krupski był wystraszony”. A ja czułem, że to inny od mojego, nieludzki świat, i nie może być z nim żadnego dialogu – opowiada dziś Janusz Krupski.

Kazano mu zdjąć kożuch i położyć się na śniegu. Żrąca, śmierdząca ciecz rozlała się po plecach. Poczul straszliwy ból. Gdy odzyskał świadomość, był już sam. Wstał, skierował się na pętlę podmiejskiego autobusu, którą zauważył po drodze. – Autobus był prawie pusty, nieliczni pasażerowie odsuwali się, bo potwornie cuchnąłem. Gdy dotarliśmy do Warszawy, wysiadłem przy postoju taxi. Taksówkarz tylko zaklął, gdy tłumacząc swój stan, powiedziałem, że uprowadziła mnie SB. Pojechałem do mieszkania ciotki mojej narzeczonej. Tam wezwano pogotowie.

Był styczeń 1983 roku. Krupski był wówczas trzydziestodwuletnim doktorantem historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a także jednym z założycieli i redaktorów podziemnego kwartalnika „Spotkania”. „Krupski jest uspokojony” – brzmiał meldunek złożony przez esbeków przełożonym. Posypały się nagrody i awanse. Przypadek Krupskiego opisał Zakład Medycyny Sądowej w Lublinie jako okaleczenie substancją ługowo-fenolową przez nieznaną sprawców.

Z esbekami przy herbatce i w sądzie

- Chciałbym z panem porozmawiać tak po ludzku. Mówi Kuliński – usłyszał w słuchawce telefonu Krupski pod koniec 1992 roku. W pierwszej chwili nie skojarzył rozmówcy. Mężczyzna uściślił więc: – Kapitan Bohdan Kuliński,

zajmowałem się panem w latach osiemdziesiątych.

To było dziwne spotkanie. Towarzyska herbatka w prywatnym mieszkaniu. Pojawiła się na niej trzecia osoba. Kiedyś Krupski uważał ją za dobrą znajomą z kręgu Klubu Inteligencji Katolickiej, miłą, czynną osobę, zawsze chętną do pomocy i przewożenia bibuły. Spotykając się po latach z Elżbietą Nalewczyńską, jak się okazało, towarzyszką życia Kulińskiego, nie wyczuł z jej strony żadnego zażenowania.

Rozmowa była długa, trwała ponad cztery godziny. – Kierowała mną ciekawość niezaspokojona do końca. Myślałem, że dowiem się, kim byli agenci, którzy działali w moim środowisku. Udało mi się jedynie wyjaśnić okoliczności pewnych zdarzeń i konspiracyjnych wpadek. A Kulińskiemu zależało, by powiedzieć, że nie miał nic wspólnego z moim porwaniem.

Początek lat 90. był pod pewnymi względami szczególny. Działała komisja Rokity zbierająca informacje o przestępstwach popełnionych przez funkcjonariuszy SB.

- Esbecy naprawdę się wtedy bali. Pamiętam, gdy podczas konfrontacji w areszcie nie zidentyfikowałem jednego z moich porywaczy, bo po prostu nie byłem pewien. Gdy wychodziłem, podał mi rękę, mówiąc: „Dziękuję, że pan mnie nie pograżył”. Ręka pływała w pocie.

Jednak gdy nastał rok 1995, a przed sądem w Lublinie toczył się proces esbeków odpowiedzialnych za porwanie Krupskiego, panowały już zupełnie inne nastroje. – To ja czułem się wtedy w sądzie głupio – mówi Krupski, obecnie wiceprezes IPN. – Oni, siedząc na ławie oskarżonych, gawędzili spokojnie z Grzesiem, jak nazywali dowiedzonego na rozprawę z więzienia Grzegorza Piotrowskiego.

Krupski wiedział już wtedy, że instrukcje dotyczące jego porwania, jakie wydał Grzegorz Piotrowski, jeden z zabójców ks. Popiełuszki, były jeszcze bardziej drastyczne. Esbecy wylali mu żrącą ciecz na sweter, który zatrzymał część zawiesziny. Tymczasem według poleceń mieli najpierw rozebrać go do naga. – Uszkodzeniu uległyby wtedy narządy wewnętrzne. Oczywiście, jeśli nagi człowiek miałby w ogóle jakąkolwiek szansę, by przetrwać w styczniu w lesie. A to wydaje się wątpliwe, zważywszy że miano mnie potem wrzucić do zbiornika wodnego.

Z Grzegorzem Piotrowskim Janusz Krupski spotkał się na korytarzu lubelskiego sądu. – Przepraszam pana – powiedział Piotrowski. – Proszę – odparł Krupski.

Pozorowana egzekucja

Antoni Mężydło szedł z przystanku autobusowego do domu, gdy z hamującej gwałtownie nyski wyskoczyło trzech mężczyzn i zarzuciło mu worek na głowę. Wciągnięto go do samochodu. Przez prześwitujący materiał starał się zaobserwować jak najwięcej szczegółów. Gdy samochód zatrzymał się przed komisariatem w Toruniu, mężczyźni przykryli go brezentem, by nie zwracał uwagi przechodniów. Po pewnym czasie pojazd ruszył, jechano w kompletnym milczeniu. W końcu zatrzymano się w lesie.

- Przykuli mnie kajdankami do drzewa. Słyszałem, jak ktoś repetuje broń, a ktoś inny łopata uderza w twardy grunt. Powiedzieli mi: „Odmawiaj zdrowaśki” – wspomina po latach Antoni Mężydło, wówczas jedna z czołowych postaci toruńskiego podziemia, dziś poseł Prawa i Sprawiedliwości. W tamten marcowy dzień 1984 roku myślał, że odbędzie się jego egzekucja. – Kilka dni wcześniej zginął Piotr Bartoszcze. Największą torturą było przekonanie, że za chwilę mogą mnie zabić.

W momencie porwania Mężydło zdawał sobie sprawę, że SB wie o nim dużo. Parę dni wcześniej zorientował się, że w jego najbliższym otoczeniu jest agent. Tajny współpracownik, student złapany z bibułą i zwerbowany przez SB, nie wytrzymał napięcia i przed wyjściem z drukarni zostawił na stole kartkę, w której ujawnił swą rolę. Choć więc SB miała sporo informacji, wiedza ta miała duże luki i właśnie dlatego zdecydowano się na porwanie. Przykuty kajdankami do drzewa, Antoni Mężydło usłyszał w pewnym momencie hasła: powielacz, drukarnia, Borusewicz. Posypały się ciosy. Po jakimś czasie znów wepchnięto go do samochodu.

W sielankowej scenerii ośrodka wypoczynkowego, położonego kilkadziesiąt kilometrów od Torunia, rozegrała się dalsza część dramatu. Siedząc na podłodze w jednym z domków letniskowych, skuty kajdankami i z workiem na głowie, Mężydło poddany został bezustannemu przesłuchaniu. Czasami kazano mu wstać, by uderzeniami pięści powalić na ziemię i bić pałą w pięty. To, co miało miejsce, przypomina scenariusz horroru, sadystyczny i wyrafinowany, zdumiewający skalą cierpień fizycznych i psychicznych. Bólowi towarzyszyło upokorzenie, więźniowi nie pozwalano na załatwienie potrzeb fizjologicznych. Do lęku o własny los dochodził niepokój o najbliższą osobę, z magnetofonu odtwarzano wypowiedzi narzeczonej, które nie pozostawiały wątpliwości, że i ona znajduje się w rękach SB.

- Słyszałem głosy przesłuchujących mnie esbeków. Zmieniali się. Sprawiali wrażenie coraz bardziej pijanych, narzekali, że są zmęczeni, trzeba kończyć i posłać mnie do piachu. Gdy zaczynałem zasypiać, chlustano na mnie wodą. Po kilkudziesięciu godzinach bez snu miałem już zaburzoną świadomość – relacjonuje Mężydło.

Gdy pytam go, skąd czerpał siły, by się nie załamać, wydaje się lekko zdziwiony. – Nie mógłbym żyć ze świadomością, że zdradziłem ludzi, których często sam wciągnąłem do konspiracji.

Po latach ocenia, że nawet pozornie przypadkowe elementy były precyzyjnie zaplanowane. Gdy wlewano mu wódkę do ust, sugerowano, że skończy jako ofiara zainscenizowanego wypadku drogowego. Jego śmierci odebrano by wszelki heroizm, byłby pijanym kierowcą, który wpadł na drzewo. W końcu powiedziano mu, że zostanie przewieziony od ośrodka tortur w Bieszczadach i wepchnięto znów do nyski. Zawieziono w pobliże wysypiska śmieci, kazano położyć się na ziemi. Gdy w końcu podniósł głowę, był sam.

Psychologia biznesu, czyli nowe wcielenie

- Wszyscy bardzo tego pożałujecie – taką deklarację złożył kapitan Marek Kuczkowski, jeden z esbeków uczestniczących w porwaniu Mężydły i trzech innych osób z podziemnej „Solidarności”, gdy w początkach lat 90. zasiadł na ławie oskarżonych.

- Na sali sądowej doszło do skandalu. Adwokat Kuczkowskiego wyciągnął materiały, wykradzione przez jego klienta z archiwów SB, które miały rzekomo przedstawić w wątpliwym świetle jednego z poszkodowanych. To zresztą kosztowało Kuczkowskiego dodatkowe pół roku – mówi historyk Wojciech Polak, autor monografii o toruńskim środowisku opozycyjnym. – Miejscowa prasa zrobiła jednak z tego sensację, dziennikarze zachowali się jak hieny. Bo gdy w końcowym przemówieniu sędzina oddała sprawiedliwość poszkodowanemu, którego pomówiono, i stwierdziła, że był odważnym człowiekiem, który zachowywał się bez zarzutu, ta sama prasa zapomniała o tym poinformować.

Również uczestniczący w procesie jako oskarżyciel posiłkowy Antoni Mężydło pamięta, że zaczęto w tym czasie rozsiewać plotki na jego temat. Mimo wszystko odczuwa satysfakcję: zapadły wyroki bez zawieszenia, a przede wszystkim dramatyczne wydarzenia z niedalekiej przeszłości stały się prawdą procesową, w którą nikt nie mógł już wątpić. Do czasu procesu nie było nawet najmniejszego pisemnego śladu toruńskich porwań, dopiero zeznania funkcyjnego kierowcy SB pozwoliły potwierdzić przebieg wydarzeń.

Proces postawił też w świetle jupiterów oskarżonych esbeków. Obraz, jaki się wyłonił, był dość zdumiewający i odbiegający od stereotypu tępych wykonawców płynących z góry rozkazów, którzy pracę w SB traktowali jako drogę społecznego

awansu. Jeden z porywaczy był synem profesora toruńskiego uniwersytetu, drugi absolwentem polonistyki, poetą znanym w czasach uniwersyteckich z wielu pasji. Być może właśnie to intelektualne wyrafinowanie pozwalało im rozwinąć inwencję w czasie tortur. W nowej rzeczywistości III RP bardzo szybko odnaleźli się w biznesie. Akademia Psychologii Biznesu to nazwa mieszczącej się pod Toruniem dość tajemniczej instytucji dla „menedżerów wyższego, średniego i niższego szczebla”, której dyrektorem i głównym menedżerem jest właśnie były kapitan SB Marek Kuczkowski. Na zdjęciu w Internecie można obejrzeć podtatusiałego pana w okularach i trudno się domyślić, że kilkanaście lat wcześniej jego ulubionym sposobem „pozawerbalnego przekonywania” było zarzucanie worka na głowę i tortury.

Jeśli chcesz zobaczyć żonę

Kiedy w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku czterech esbeków zjawilo się w domu Bronisława Lachowicza, wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu „Solidarności” w Lesznie, jego chora na raka żona przeszła do sąsiedniego pokoju, by zbudzić starszego syna i upadła. Syn przeniósł ją do łóżka. Nigdy już nie wstała. Internowany Lachowicz, jadąc w mroźną noc okratowanym starem do więzienia w Ostrowie Wielkopolskim, nie miał pojęcia o nagłym pogorszeniu się stanu zdrowia żony. Zgodnie z przewidywaniami lekarzy miała przed sobą jeszcze kilka lat życia. Ale o zapaści wiedziała SB i postanowiła to wykorzystać.

- Na spacerunku radziłem się kolegów, co robić. Po tygodniu internowania przyjechał do więzienia porucznik SB z Leszna i oświadczył, że jeśli podpiszę lojalkę, wyjdę do chorej żony. Koledzy powiedzieli mi, żebym się nie wygłupiał i podpisał, bo jeśli robi się to pod przymusem, nie jest ona ważna.

Mimo że Lachowicz podpisał lojalkę, nie zwolniono go. Kilka dni później lekarka ze szpitala w Lesznie zatelefonowała wcześniej rano do SB, że stan pani Lachowicz jest krytyczny. – Jeśli podpisze pan deklarację o współpracy z SB, wyjdzie pan do żony, która potrzebuje przecież opieki – usłyszał od kapitana SB, który aż do północy starał się go do tego przekonać. Odmówił. Wsadzono go do nyski i zawieziono do Leszna. Samochód zatrzymał się przed domem Lachowicza. Wszedł do mieszkania po to tylko, by usłyszeć od dzieci to, co SB było doskonale wiadome – żona jest w szpitalu. Czekał w szpitalnym korytarzu na pojawienie się wezwanego przez esbeka lekarza dyżurnego, nie wiedział, że żona właśnie kona. – Jak zdrowie pani Lachowicz? – spytał esbek lekarkę. – Można pytać o zdrowie kogoś, kto żyje – odparła. Lachowicz poczuł, że zapada w ciemność.

Pogrzeb żony odbierał jak przez mgłę i raczej z relacji innych wie, że zjawily się tłumy, choć pozwolono zawiadomić jedynie najbliższą rodzinę. Potem wyrzucono go z pracy, a wszędzie okazywało się, że nie ma dla niego miejsca. W końcu pozwolono mu, nauczycielowi szkoły średniej, pracować w domu dziecka położonym kilkanaście kilometrów od miasta. Lata 80. zapamiętał jako pasmo szykan, bezustannych rewizji i zatrzymań na 48 godzin. Najmłodszy syn, który w chwili internowania ojca miał cztery lata, nie chciał go odstąpić nawet na chwilę. Dostawał gwałtownych torsji na widok nieznanych panów w nysce, którzy przyjeżdżali czasem po tatusia. Przez parę lat sypiał w dziwnej skurczonej pozycji, takiej samej, w jakiej przetrwał dwa tygodnie przy boku śmiertelnie chorej matki, wczepiony w jej opuchniętą rękę.

W połowie lat 90., gdy kapitan Szafranski, który łamał Lachowicza, zaczął robić karierę samorządową, prześladowany opozycjonista wystąpił w regionalnej telewizji, opowiadając o swych przeżyciach. „Postępowałem w stosunku do pana Lachowicza bardzo życzliwie. To on nie przejmował się sytuacją żony, jadąc do szpitala śpiewał wesoło” – napisał w lokalnej prasie były esbek.

Jak złamać kobietę

Od chwili wprowadzenia stanu wojennego przez pięć lat ukrywania się Ewa Kulik-Bielińska zbierała informacje o tym, czego może się spodziewać, gdy wpadnie. – Było oczywiste, że w końcu trafię do więzienia. Interesowałam się więc, jakim naciskom zostanę poddana.

Miesiąc po zatrzymaniu oficer SB oświadczył, że „jeśli będzie grzeczna”, zawiozą ją na pogrzeb brata, który popełnił samobójstwo. W ten sposób dowiedziała się o jego śmierci, choć łudziła się wtedy, że chodzi tylko o to, by ją psychicznie złamać. Okoliczności śmierci brata kryją mroczną zagadkę. Nie ma raczej wątpliwości, że rzeczywiście odebrał sobie życie, nie wiadomo jednak, co go ostatecznie załamało i dlaczego ciało odnalazł mężczyzna, którego później widziano, jak pobiera pieniądze w krakowskiej komendzie milicji.

Zgromadzona przed aresztowaniem wiedza o zachowaniach esbeków przygotowała Ewę Kulik-Bielińską pod względem psychicznym do przesłuchań. – Wiedziałam, że będą mnie obrażać. Seksualne aluzje pod adresem zaangażowanych w opozycję kobiet były w latach osiemdziesiątych ulubioną metodą esbeków. I mnie również mówiono, kogo „obsługiwałam”. Najlepszą ripostą było udawanie, że obelgi nie robią najmniejszego wrażenia, po powrocie do celi mówiłam więc beztrąsko, że jednego mężczyzny mi mało, musiałam mieć całą Regionalną Komisję

Wykonawczą „Solidarności”.

Tę metodę upokarzania stosowano zwłaszcza w stosunku do kobiet z otoczenia Czesława Bieleckiego. – Kiedy wpadł Czesiek Bielecki razem ze swoją narzeczoną i łączniczkami, potraktowano je wyjątkowo brutalnie – mówi Ewa Kulik-Bielińska. – Być może dlatego, że budził szczególną nienawiść esbeków. Do łączniczek mówiono więc „ty, k... „, urządzano im konwejer, czyli trwające wiele godzin przesłuchanie, podczas którego krzyczano na nie, gdy na chwilę chciały wstać. I cały czas szydzono, że ich rola polegała na pełnieniu seksualnych usług wobec „tego Żyda”.

Chociaż dla Ewy Kulik-Bielińskiej więzienie było traumatycznym przeżyciem, miała świadomość, że i ją, i jej ówczesnego narzeczonego Konrada Bielińskiego, a także Zbigniewa Bujaka esbecy traktowali w białych rękawiczkach, ich przesłuchania musiały być bowiem raportowane bardzo wysoko. Znacznie brutalniej postępowano z ludźmi, którzy działali na obrzeżach opozycji, na przykład wynajęli mieszkanie ukrywającym się działaczom „Solidarności” lub byli zwykłymi robotnikami. – Miałam łącznika, cichego, skromnego robotnika. Chcąc zmusić go do ujawnienia kontaktów, wywieziono go nad Wisłę, przypalano papierosami, pobito i oblano benzyną. Nic nie powiedział. Było wielu cichych bohaterów.

Sposób na każdego

To był człowiek, który nie chciał powiedzieć niczego. Olbrzymi, zwalisty ochroniarz Leszka Moczulskiego patrzył zazwyczaj w sufit pokoju przesłuchań Pałacu Mostowskich i uparcie milczał. – Zachowywał się tak, jakby nawet powiedzenie oficerowi SB „odmawiam złożenia zeznań” było dla niego ujmą – opowiada były esbek, nie ukrywając niechętnego podziwu. Jednak znaleziono sposób, by wycisnąć informację nawet od kogoś, kogo w żaden sposób nie dałoby się złamać. – Agenci z kontrwywiadu z fałszywymi szwedzkimi paszportami podszyli się pod przedstawicieli Polonii ze Szwecji, którzy szukali dojść do struktur niepodległościowych. Gdy wreszcie zorientował się w sytuacji, było za późno.

Ta historia miała zapewne utwierdzić mnie w przekonaniu, że nie było sposobu, by wygrać z bezpieczeństwem. Jednak zasadnicza teza, do której starał się mnie przekonać mój rozmówca, jest prosta: ludzie nie tylko łatwo się załamywali podczas przesłuchań, ale wręcz garnęli do tego, by stać się TW, czyli tajnym współpracownikiem.

- Zgłosił się do mnie pewien mężczyzna, który chciał donosić na matkę działającą w opozycji. Szczegółowo informował o każdym jej kroku. Wykombinował sobie, że jak matka pójdzie od więzienia, to on z żoną przejmie mieszkanie.

Tę anegdotę słyszę, gdy pytam byłego oficera SB, jak werbowano agentów. Sypie przykładami jak z rękawa, wszystko staje się punktem wyjścia do opowieści, jak łatwo ludzie działający w opozycji zostawali w latach 80. tajnymi współpracownikami. – Pewien znany działacz „Solidarności”, pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, został zatrzymany przez drogówkę za jazdę po pijanemu. W samochodzie znaleziono trochę bibuły. Został świetnym TW, kilkakrotnie zmienialiśmy mu pseudonim, a jego raporty były bardzo wyczerpujące.

Pewne anegdoty o figurantach, jak w języku SB nazywano inwigilowane osoby, weszły do żelaznego repertuaru esbeków. Kilkakrotnie wysłuchałam więc opowieści o podsłuchu zainstalowanym w materacu wybitnego opozycjonisty, dzięki któremu dowiedziano się sporo nie o nim, lecz o jego żonie, a także o ukrywających się działaczach „Solidarności” i będących efektem tego ukrywania się dzieciach o spornym ojcostwie. Świat, jaki wyłania się z tych opowieści, jest zabrudzony. Wszyscy mają wstydliwie słabości, a motywy ich działania z reguły są niskie. Moralnie dwuznacznicy osobnicy działający w podziemiu nie mają właściwie żadnych racji, które mogliby przeciwstawić esbekom.

Smutna historia o końcu przyjaźni

Skrytka, w której ukrywano bibułę, była wręcz znakomita. Podczas rewizji nie znajdowano nic, dlatego Rafał Grupiński, wydawca podziemnego „Czasu Kultury”, był zaskoczony, gdy go zatrzymano. Dopiero po wyjściu z więzienia dowiedział się, dlaczego wpadł. – Przyszedł do mnie przyjaciel. Świetny chłopak, inteligentny, wrażliwy. To była trudna rozmowa – wspomina Grupiński. – Przyznał się, że to on mnie wydał. I opowiedział, jak go złamano.

Historia Tomasza S. była wstrząsająca. W czasie przesłuchania usiłowano wyciągnąć, od kogo dostawał bibułę do kolportażu. Milczał. Wtedy przesłuchujący go esbek powiedział, że w takim razie aresztowana zostanie jego żona. Przecież uczestniczy w konspiracji, bo otworzyła drzwi na hasło. Kobieta była w ósmym miesiącu zagrożonej ciąży.

Tomasza S. poprowadzono do celi korytarzem, z którego mógł zobaczyć oddział kobiecy. Widział kobiety zachowujące się w sposób, który go zaszokował. Pokazywały piersi, śpiewały wulgarne piosenki. Powiedziano mu, że to więźniarki polityczne, które zwariowały, bo nie mogły znieść przesłuchań oraz gwałtów ze strony strażników. Takie gwałty są na porządku dziennym. I byłoby przykro, gdyby z jego powodu żona straciła dziecko.

Uwierzył. A potem, gdy już wszystko powiedział SB, prowadzono go obok celi, w której posadzono Grupińskiego. Zobaczył wystawione przed nią charakterystyczne buty z długimi cholewkami i musiał się domyślić, że wyspał przyjaciela.

- Kiedy się w końcu dowiedział, że aby go złamać, pokazano mu nie z maltretowane więźniarki polityczne, ale pospolite kryminalistki, nie mógł uwierzyć – opowiada Grupiński. – Esbekiem, który go złamał, był Grzegorz Mizera, inteligentny i naprawdę dobry prawnik. Niedawno dowiedzieliśmy się, że Wielkopolska Izba Radców Prawnych chce go wyróżnić za wybitne osiągnięcia.

Parę miesięcy po trudnej rozmowie Grupiński i Tomasz S. znów zaczęli się spotykać. – Ale już nigdy nie rozmawialiśmy tak jak przedtem. Coś skończyło się bezpowrotnie.

Dobrze płatne zajęcie

- Czy zna pani szcęk przeładowywanej broni? Robi wrażenie, zwłaszcza w kompletnej ciszy. Mógłbym przeładować teraz, ale w kawiarni siedzi kilka osób. Poza tym to naprawdę lepiej brzmi w lesie, gdy daje się komuś łopatę i każe kopać grób. I stojąc nad grobem z kolegą, narzeka się, że jest zimno, pada deszcz i trzeba kończyć sprawę.

Mija czwarta godzina rozmowy z byłym esbekiem. Powoli zaczynamy dochodzić do opisu bardziej niekonwencjonalnych metod, stosowanych przez SB w latach 80.

- Przełożony nie mówił wyraźnie, co mamy zrobić. Gdyby polecił wykonać coś naprawdę ostrego, mógłbym zażądać polecenia na piśmie. I oczywiście bym go nie dostał. Zazwyczaj jednak szef po prostu naciskał, powtarzał, że nie ma wyników. I dawał do zrozumienia, że muszą być. I nie interesuje go, jak się je osiągnie.

Mój rozmówca starannie podkreśla, że drastyczne metody stosowali jego koledzy z Pałacu Mostowskich. On sam, „dzięki swej inteligencji”, nie musiał chwytac się takich sposobów, by „opracować figuranta” czy „zrealizować sprawę”. O wywożeniu inwigilowanych osób do lasu i „przyciśnięciu mocniej” rozmawiano jako o czymś naturalnym, choć na ogół w szerszym gronie nie mówiono o sprawach, nad którymi się pracuje. – Ufało się najbliższym dwóm, trzem osobom z wydziału. Już kiedy poszedłem do szkoły oficerów SB w Legionowie, czyli, jak nazywała ją Wolna Europa, szkoły żmij, usłyszałem: jak sobie do tej pory kolegów nie znalazłeś, to tu ich nie szukaj.

Kiedy pytam go, czy po latach inaczej ocenia metody, którymi posługiwała się SB, nie dostaje odpowiedzi. Wspomina tylko, że „pracą w policji odkupił swe winy”. Motywy, dla których poszedł do SB, były prozaiczne.

- Kiedy zacząłem pracować w początkach lat osiemdziesiątych, ludzie zarabiali trzy, cztery tysiące. Ja dostałem dwanaście. A jak był dobry miesiąc, premia wynosiła czterdzieści pięć tysięcy. Wystarczająco dużo, by wykonywać nawet nieformalne polecenia i bardzo się starać.

Superbaba straszy kobiety

- Gdyby wróciły tamte czasy, wypełniałabym swe obowiązki jeszcze skrupulatniej – blondynka o zimnej twarzy, siedząc w 2004 roku na ławie oskarżonych w sali Sądu Okręgowego w Częstochowie, zapewniła sędzinę, że nie żałuje niczego. Nie patrzyła na salę. Nie poznawała zresztą większości kobiet, z którymi zetknęła się przed laty. Im jej twarz zapadła głęboko w pamięć.

- Zawdzięczam jej najbardziej upodlające doświadczenie w moim życiu – mówi krótko Barbara Ostrowska, relacjonując rewizję osobistą, jakiej została poddana w 1982 roku. Zrzucanie kolejnych warstw odzieży i stanięcie nago. A potem wykonywanie skłonów i przysiadów.

Podobnie złe wspomnienia mają inne zatrzymywane i internowane kobiety, które w stanie wojennym napotkały na swej drodze początkującą wówczas oficer SB Barbarę W. – Traktowała nas jak szmaty, wprost emanowała z niej pogarda. Potrafiła zastraszyć, przekonać na przykład, że dzieci trafią do domu dziecka – wspomina jedna z kobiet.

Barbara W. nie miała żadnych skrupułów. Liczyła się skuteczność. Jednej z pokrzywdzonych skłamała, że matka nagle zmarła. Roztrzęsionej kobiecie obiecywała, że załatwi przepustkę na pogrzeb, wystarczy tylko podpisać oświadczenie o współpracy z SB. Dwudziestoczteroletnia wówczas Barbara W., zwana ironicznie Basieńką, była czarną legendą tzw. trójkąta bermudzkiego, jak nazywano Komendę Wojewódzką w Częstochowie, a także więzienia dla kobiet w Lubiczu.

Po latach zobaczyły jej twarz znowu. W dodatku „Super Expressu”, zatytułowanym „Superbaba”, przeczytały o znakomitej komendantce policji z podczęstochowskiej miejscowości. Z powodztwem przeciwko Barbarze W. wystąpił IPN.

- Kiedy dowiedziałyśmy się, że jej adwokatem jest mecenas Danuta Ćwik, która

bronila zomowców z Wujka, byliśmy załamane – mówi Katarzyna Grochman ze Stowarzyszenia Więzionych i Represjonowanych. – Bo skąd my, biedne babeczki bez grosza, miałyśmy wziąć pieniądze na prawnika? Na szczęście pomógł nam Zarząd Regionu „Solidarności”.

W styczniu 2005 roku po apelacji zapadł ostateczny wyrok w procesie Barbary W. Dostała dwa lata w zawieszeniu i na mocy amnestii wyszła z budynku sądu wolna.

- Nie chodziło nam o to, by siedziała. Chciałyśmy, żeby powiedziała: „Byłam młoda, ambitna, zdeterminowana, by zrobić karierę, wybaczone”. Nie doczekałyśmy się jednego słowa przeprosin – mówi Katarzyna Grochman. – I kto jest w końcu zwycięzcą? Widujemy ją, jak elegancka, uśmiechnięta, spaceruje po głównej ulicy Częstochowy. Ma wysoką resortową emeryturę. A my wegetujemy na naszych siedemsetzłotowych rentach.

Polisa na życie

- Tylko raz skorzystałem w III RP z pomocy swego byłego agenta. Zweryfikowano mnie negatywnie. Powiedział, żebym się nie martwił. Zadzwoń do Małgosi, ona mi pomoże. Dla niej mój agent był zapewne po prostu kolegą z opozycji, któremu ufała. W drugim podejściu weryfikację przeszedłem – opowiada były warszawski esbek.

Szczyci się tym, że ze swoją agenturą rozstał się elegancko: – Umówiłem się na spotkanie. Wręczyłem zalakowane koperty. Przy mnie niszczyli zobowiązanie do współpracy. Niektórzy się denerwowali, że w innych teczkach mogły zostać ślady ich działalności, mikrofilmy, ale ich wyśmiałem. Jak nie ma odręcznie napisanego zobowiązania, raportów, pokwitowań – to są czyści.

Nie utrzymuje już kontaktów ze swymi tajnymi współpracownikami, choć niekiedy były one bardzo zażyłe. – Mówili mi o swych problemach zawodowych i osobistych, a ja starałem się im pomóc. Pamiętałem o imieninach, drobnych upominkach. Z tajnymi współpracowniczkami można było utrzymywać związki intymne, ale najpierw trzeba było wystąpić o pisemną zgodę do przełożonego. Dystans zachowywali nieliczni agenci, ci, których zmuszono do współpracy, naprawdę mocno przyciskając.

Jednak zerwanie więzi z tajnymi agentami, współpracującymi z SB w latach 80., nie jest w środowisku byłych esbeków regułą.

- Niektórzy wczepili się w gardła swych agentów jak buldogi. Jeśli czyjś tajny współpracownik zaszedł naprawdę wysoko, przekazanie kompromitujących go

dokumentów jest warte sporą sumę, ale na ogół takiego byłego współpracownika traktuje się jak długoterminową polisę na niezłe życie.

Kto może spać spokojnie

Prokurator Andrzej Witkowski z lubelskiego IPN ze względów oczywistych stroni od komentarzy, które można by było potraktować jako polityczne. Dlatego, chociaż „pewne skojarzenia same cisną się na usta”, nie zamierza mówić, czemu tak wiele przestępstw popełnionych przez funkcjonariuszy SB w latach 80. nie zostało wyjaśnionych, nie mówiąc już o ukaraniu sprawców. – Zaczęto bardzo ostro. Raport komisji Rokity z 1991 roku wytypował około stu przypadków zabójstw, niewyjaśnionych śmierci, uprowadzeń i udręczeń ze szczególnym okrucieństwem, co do których istnieje podejrzenie, że odpowiadają za nie funkcjonariusze SB. Polecono organom prokuratury przeprowadzić dochodzenia w tych sprawach. Szybko osiadły one na mieliźnie. Po dwóch latach prokuratury już tylko pozorowały prowadzenie spraw.

Instytut podjął te zaniechane śledztwa. Jeśli grupa śledcza zostałaaby zwiększona, do sądów skierowano by nowe akty oskarżenia.

- Ktoś, kto po prostu był funkcjonariuszem SB, może spać spokojnie. Nie mogą mieć spokojnego snu ci, którzy brali udział w związku przestępczym, działającym w resorcie MSW – mówi prokurator Witkowski. – Pewne zbrodnie nie ulegają przedawnieniu, IPN ma możliwość skorzystania z instytucji świadka koronnego. Jest też wielu funkcjonariuszy SB, którzy popełnili przestępstwa przedawniające się w 2010 roku. Ich ściganie mogłoby nastąpić na wniosek osób pokrzywdzonych, a one często wolą milczeć i mieć święty spokój. •

„Rzeczpospolita” 05.02.2005